

Körner L. Bilu

<http://rcin.org.pl>

WYDAWNICTWO
DLA MŁODZIEŻY

» A W I W «

LEWI KÖRNER



BILU

(Ze wspomnień pierwszego
pioniera)

NAKŁADEM
TOWARZYSTWA
KOŁO KOBIEŃ ŻYDOW.
LWÓW, PL. STRZELECKI 4

AP
<http://rcin.org.pl>

25 3/10 11/2

LEWI KÖRNER

B I L U

(Ze wspomnień pierwszego pioniera)



INSTYTUT
BADAŃ LITERATYKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 7
Tel. 26-68-63

NAKŁADEM
TOWARZYSTWA „KOŁO KOBIEŃ ŻYDOWSKICH”
LWÓW, PLAC STRZELECKI 4.

<http://rcin.org.pl>



22.128

LWOWSKA DRUKARNIA NOWOCZESNA, PIŁSUDSKIEGO 21. TEL. 16•76.

<http://rcin.org.pl>



Chodź! — rzekł do mnie Edmund.

Był ciepły, kwietniowy wieczór. Młode pęki kasztanów bielaly w ciemności, a przez ogród wiał chłodny, przejmujący wiatr. Siedzieliśmy na ławce i nie chciało mi się odejść. Było tak spokojnie. Na niebie skrzyły się gwiazdy. Jak poprzez ścianę słyszało się oddech miasta.

— Chodź! — powtórzył Edmund — nie pożałujesz.

Poszliśmy. Wchodzimy do lokalu organizacji — ciemno.

— Cóż to? — mówi — niema nikogo?

Nagle wrzask. To takie powitanie. Chłopcy wistają nas.

— Co się stało? co za święto? — pytamy.

Bezdłownie, jeden przez drugiego krzyczą razem chłopcy i dziewczęta:

— Nic, „elektryka“ się zepsuła, Belkind przyjechał, chcieliśmy was przestraszyć!

— Już, dość, dość, wiemy już wszystko.

Ale nikt nas nie słucha. Krzyki, śpiewy, gwizdanie, zgrzyty, skrzypienie przesuwanych stołów i krzesel mieszają się z płaczkliwym głosem drużynowego: — Cicho banda — krzyczy raz poraz. — Tak się przyjmuje gościa?! — pyta się sam siebie, bo głos jego głośnie w ogólnej wrzawie.

Było mi trochę nieswojo, ale jakoś niezwykle. Pozwoli zacząłem rozróżniać pojedyncze postacie chłopców i dziewcząt i zasunąłem się w kąt. Za mną nieodłączony Edmund.

— Przyjemnie, że ciemno, prawda? — szepczę do niego.

— Pewnie — przyznaje mi w roztargnieniu słuszność. Zajęty jest własnymi myślami: — Czy Belkind naprawdę przyjdzie? — pyta się.

— Idzie! idzie! — rozlega się głos strażnika stojącego na widocie przed bramą.

— Hachejn, hachejn, hachejn — woła drużynowy i staje przy drzwiach.

Ustawiamy się wzdłuż ścian. Przez okno wpada zielona wstęga księżycowego światła. Czekamy. Cicho.

Wchodzi Belkind. — Szalom! — Niema światła? Świetnie! Znakomicie!

Nikt mu nie odpowiada — wstydzimy się. Słychać tylko coś jak: ach, ach, hm, tak, niestety. Drużynowy pręży się przed nim i z pamięci wygłasza krótką mowę powitalną. Koleżanka recytuje jakiś wiersz. Przyjęcie oficjalne jest skończone. Belkind siada na krzesło w rogu pokoju naprzeciw okna, skąd wpada księżycowe światło. Kilka koleżanek siada na krzesłach i stołach, reszta — to jest my wszyscy — podwinąwszy nogi pod siebie, przykucnęliśmy na podłodze. Teraz widzę go dokładnie. Okrągła twarz, rzadka siwa bródka i całkiem bielutka czupryna.

— No — zaczyna Belkind — jestem wzruszony waszem przyjęciem. Ilekroć przebywam wśród młodych, przypominam sobie własne młode lata. Nie martwcie się tak strasznie, że niema światła. Naprawdę, to nic a nic nie szkodzi. Gdy przyjechaliśmy do Erec, nie mieliśmy także elektryczności. Tak, zepsuła się nam jakoś.

— Wtedy jeszcze nie było „elektryki“ — wrywa się jeden „mądrzejszy“.

— Nie było? Tak, tak, nie było, w Erec nie było wówczas elektryki... A wcale szczęśliwie się żyło, wcale dobrze się czuliśmy. A zwłaszcza wieczorami po pracy! Byliśmy szczęśliwi, gdy mieliśmy pracę, za chwyceni gdy mogliśmy po pracy odpocząć... Pewnie chcecie bym wam coś opowiedział. No, powiedzcie o czym?

— Jak się jedzie do Palestyny? — woła odważnie Edmund.

— Doskonale, opowiem wam, jak myśmy jechali. Dziś jedzie się inaczej, ale i wtedy była to cudowna podróż. Byłem wówczas młodym, dziewiętnastoletnim chłopcem, właśnie ukończyłem gimnazjum i zapisałem się na uniwersytet...

— Co to — szepce do mnie Edmund i ściska mnie za łokieć — widzisz?

— Widzę.

Ciepły i męski głos Belkinda hipnotyzował. Zdało mi się, że nie stary Belkind siedzi — ale nagle, jak to się w kinie widzi, twarz starca z siwą brodą znikła i przemieniła się w młodą, rumianą twarzesołego chłopca. Dziwy... dziwy.

...studjuję na uniwersytecie, poznaję kolegów, Żydów i Rosjan, żyjemy sobie po bratersku, zbieramy się na wspólnych posiedzeniach, dyskutujemy, spieramy się i godzimy. Aktualną była wówczas sprawa przyznania Żydom pełnych praw obywatelskich. W tych latach pojawiły się pierwsi lekarze żydowscy z akademickim wykształceniem, ten i ów starał się o stopień oficera. Gazety, zwłaszcza postępowe przyznawały nam zupełną rację w naszych żądaniach. Chcieliśmy być obywatelami jak wszyscy Rosjanie, chcieliśmy by wolno nam było zajmować się każdym rzemiosłem. W tych

czasach nie wolno było jeszcze Żydom mieszkać w Moskwie, żądaliśmy więc, by nam pozwolono tam przebywać, byśmy nie musieli ukrywać się nocą. W hotelach często zdarzały się rewizje zarządzane przez policję moskiewską w poszukiwaniu tych nieszczęsnych śmiałków, którzy odważyli się zostać na noc w stolicy. Gdy złapali takiego podróżnego, wywlekali go z łóżka i ciągnęli na komisariat. Kończyło się na grubej karze — pieniędzy.

Przeciw temu walczyliśmy, a Rosjanie — nasi koledzy z uniwersytetu rozumieli nas doskonale i popierali nasze słuszne żądania. Wszystko układało się więc jak najlepiej i byliśmy pewni, że wspólnymi siłami przezwyciężymy trudności, przekonamy wszystkich i zwyciężymy. Myśleliśmy, że wkrótce już osiągniemy cel. Wydawał się nam tak bardzo bliski. Ale jakżeśmy się rozczarowali. Okazało się, że wszyscy nas oszukiwali — i rząd i koledzy i gazety. Bo kilka miesięcy po moim wstąpieniu na uniwersytet, tak około końca zimy usłyszeliśmy pierwsze wieści o rozruchach. Coś się działo. Nie wiedzieliśmy jeszcze co, nie znaleźliśmy szczegółów, nie chcieliśmy jeszcze uwierzyć. Jedna za drugą gonili niepokojące wiadomości — jak pierwsze, wiosenne grzmoty. Głuche odgłosy zwiastowały burze, błyskawice.

Wkrótce już wiedzieliśmy wszystko.

Rozruchy wybuchły niespodzianie. Nie wiedzieliśmy, co począć. Byliśmy ogłuszeni i bezradni. Nie mogliśmy pogodzić się z myślą, że to wszystko prawda, że nas haniebnie oszukano, że nie mamy już przyjaciół. A więc nie jesteśmy obywatelami, nie mamy ojczyzny. Wszystkie te piękne słówka o zbrataniu narodów, o prawach obywatelskich okazały się wstrętnym fałszem. W Kiszyniewie, w całej południowej Rosji mordowano bezlitośnie Żydów.

Wkrótce zaczęły nadchodzić jeszcze smutniejsze wieści. Żydzi masowo uciekali z okolic, w których wybuchły pogromy. Czy możecie pojąć, co to znaczy? Wyobraźcie sobie: wszystkie drogi na zachód — zastłoczone tłumami ludzi. Zastygłe w bolu twarze, rozwiane brody, błędne, zrozpaczone oczy mijają, płyną bez końca. Znikąd nie mają pomocy. Zwrócono się z delegacją do Ministra — wysoki dygnitarz odparł:

— Droga na zachód stoi wam otworem.

Więc poszli.

Wygnani ze swoich domów, wsi, miast — pokrwawieni, bez pieniędzy, nie widząc znikąd pomocy uciekali w nieznane kraje. Szli na zachód szukając lepszej przyszłości. Za nimi zostaje w dali Rosja — rozległe, płaskie równiny, bezkresne, urodzajne pola i — stepy, gdzie okiem spojrzeć — stepy. Za nimi zostają w dali dymiące zgliszcza, kłębi się ciemna chmura kurzu.

Idą. Pierwsi z ręcznymi wózkami — pochyleni wprzód, zapatrzeni w jakiś punkt na horyzoncie — jeźdźcy, wozy z rozbitymi skrzyniami, taczki naładowane uratowanym dobytkiem. Na wozach jakieś łóżka, złamane krzesła, stoły. Stłoczone naokoło wozów — jak za cennym skarbem — szły kobiety w rozdartych płaszczach, w postrzępionych futrach, otulone chustami. Płakały bez rąk przy twarzy. Załzawionemi oczyma patrzyły przed siebie, nie widząc nic poprzez piekącą, tęczową zasłonę. Zgrzyt zeschniętych osi, szczekanie psów, płacz dzieci i nerwowy śmiech starszych słyszało się jednocześnie z ciężkim nierównym stąpaniem tysięcy nóg, głuchem i nieustannem. Czasami tylko przebijalo się przez ten szum — westchnienie. Głębokie, wstrząsające westchnienie.

Wkrótce na ulicach Brodów, Lwowa i innych miast małopolskich widziano bezdomnych ludzi, błą-

kających się z tobołkami, pakunkami, z dziećmi, prawie w lachmanach. Żyli z dnia na dzień — w bramach domów, pod schodami, w cieniu murów, w ogrodach. Nikt się nimi nie opiekował.

Straszne te wieści dochodziły do nas do Charkowa i budziły w nas rozpacz. Przychodzę raz na uniwersytet — w podłym nastroju — i widzę: coś się niezwykłego dzieje. Kolega B. leci od jednego do drugiego i coś szepce. Korytarze są pełne, sale przepelnione. Właśnie chcę wejść na wykład, gdy zatrzymuje mnie B. i mówi:

— Kolego, dziś wieczór przyjdziecie do nas! — Odbędzie się zebranie. Przyjdźcie napewno!

Chciałem go zapytać, co to za zebranie, ale już mi znikł. Myślę sobie: — Przyjdę, posłucham, no, zobaczymy, może się coś zrobi. — Pobiegłem do przyjaciela, żeby go zabrać ze sobą na posiedzenie — a tu u niego — koniec świata. Przyjechali do nich krewni z napadniętych okolic. Wszyscy obwiązani, pokrwawieni, jeden miał rękę na temblaku, w kącie jakaś kobieta patrzy niewidzącami nic oczyma. — Ach, to nas opórządzili — pomyślałem sobie.

Wyszliśmy z przyjacielem na ulicę. Nie mogłem ochłonąć z doznanego wrażenia. Milczeliśmy.

— Co myślisz zrobić — zapytałem go nagle — czy widzisz wyjście?

Był bardzo spokojny i zamyślony. — Nie możemy tu dłużej pozostać. To, co wczoraj było w Kiszyniewie, może jutro być i w Charkowie. Trzeba koniecznie zerwać z upodleniem chwili obecnej. Zwiążmy naszą przeszłość z lepszym jutrem. Musimy się zdobyć na decyzję i czyn. Wyjeżdżam do Palestyny!

— Co? — krzyknąłem — pomyliłeś się chyba? Chcesz jechać do Azji?!

— Tak, do Azji. Palestyna leży w Azji, a ja udaję

się w tych dniach do Palestyny. Wszystko dokładnie przemyślałem. Kilku kolegów zgodziło się ze mną. Zrozumieli mnie. Osiedlimy się w Palestynie i będziemy pracować na roli. W ten sposób pokazemy całemu światu, że Żydzi potrafią pracować, przekonamy innych Żydów, że tylko w Palestynie nikt ich nie będzie prześladował, zbudujemy żydowskie kolonie i miasta, stworzymy nowe życie.

Plan wydał mi się cudowny. Ciekaw byłem, czy o tem będą mówić na zebraniu.

— Dzisiaj zbierzemy się u B. Tam dokładnie omówimy całą pracę — mówi przyjaciel.

— Dobrze — mówię wzruszony — myślałem, że o niczem nie wiesz i chciałem cię tam zaciągnąć. — Milcząc szliśmy dalej.

W kilka dni później całe miasto mówiło już tylko o nas. Komentowali, tłumaczyli, opowiadali sobie na ucho szczegóły, o których sami nie wiedzieliśmy nic. Starali się zrozumieć, — dlaczego jedziemy do Palestyny?! Czy nie lepiej do Ameryki? — pytali. O nas iwni! Czy mogą pojąć, czym jest baśniowy kraj młodeńskich marzeń? Rozpoczęliśmy propagować nasze zamiary. Staraliśmy się nakłonić „starych“, by dali pieniądze na pierwszą kolonję. Na ferje wiele kolegów wyjeżdżało do swych rodzinnych miasteczek. Porozumieliśmy się z nimi, by wszędzie u siebie organizowali studentów w związki podobne do naszego. Mieli za zadanie pozyskać jak najwięcej osób dla naszego planu. Postanowiliśmy bowiem stworzyć wielką organizację. Miała się nazywać „Dabju“*). Pozyskaliśmy nawet — choć z wielkim trudem — kilku bogatych obywateli, którzy mieli zakupić ziemię. Byli już tak prze-

*) Są to inicjały: Dabejr el bnej Israejl w'jisau.

jęci, że niebawem wysłali umyślnego wysłańca p. Le-wontina do Palestyny, by tam zakupił ziemię.

Gdy jednak przyszło okazać nam sympatię nie przyrzeczeniem, ale czynem, gdy przyszło zapłacić pieniądze, starsze pokolenie bardzo ochłodło. Musieliśmy z nich zrezygnować. Trzeba sobie było samemu radzić. Postanowiliśmy własnymi środkami, a nawet i bez środków dostać się do Palestyny i pokazać całemu światu, że sami, bez wszelkiej pomocy stworzymy kolonję. Za naszym przykładem pójdą inni.

Hasłem naszym było: Zorganizować 500 młodych — pionierów. W krótkim czasie przekroczyliśmy tę liczbę. Nazwaliśmy się „Bilu“^{***}). Centralne „biuro“ urządziliśmy w Odessie, w mieście portowem. Stamtąd mieli przyszli emigranci odpływać do Erec.

W szesnastkę — w tem jedna koleżanka: Sirot — wyjechaliśmy do Odessy. Stamtąd mieliśmy udać się do Konstantynopola, tam bowiem znajdował się Olifant. Ze składek wszystkich kolegów uzbieraliśmy sumę, która wystarczała i na przejazd do Erec i na jaki tydzień życia. Zapomnieliśmy o obojętności „starszego“ pokolenia i cieszyliśmy się, że już zbliżamy się do celu naszych marzeń. Pojechaliśmy do Odessy! Przyszło nam przeżyć jeszcze niejedno rozczarowanie. A rozczarowanie jest tem większe, im większa była nadzieja. W Olifanta zaś wszyscy Żydzi wierzyli jak w Mesjasza. Ale muszę wam jeszcze powiedzieć, kto to był Olifant.

Był to angielski polityk. Wpływowy człowiek, pisarz i zdaje się marzyciel. W tych czasach była aktualną tak zwana kwestja turecka. Chodziło o to, że z jednej strony państwa europejskie a szczególnie Anglja bała się, żeby Turcja nie była za silna i ciągle były

^{***}) Inicjaly słów: Bnej Jaakow l'chu w'nejlcha.

się z nią. Po każdej wojnie Rosja zabierała sobie kawałek Turcji. Z drugiej strony Anglja obawiała się, że Rosja będzie za silną, gdy Turcja będzie słaba. Nie wiedzieli więc, jak ten problem rozwikłać. Olifant powziął plan, by Anglja zorganizowała Turcję na wzór europejskiego państwa. W Palestynie możnaby osiedlić Żydów, którzyby tu włożyli wielkie kapitały i podnieśli gospodarczo cały kraj, tworząc z niego bramę dla przemysłu Anglji do wszystkich rynków Bliskiego Wschodu. W ten sposób Anglja by miała wpływ na Turcję, Turcja byłaby bezpieczna, a Rosja poskromiona. Tak więc i wilk byłby syty i owca cała.

Sir Olifant jechał do wielu znakomitości politycznych, pertraktował z domami panującymi, pukał do wrót Wysokiej Porty (tak się nazywała siedziba sultana w Stambule). Niestety, jak się później okazało, znacznie większe wrażenie wywarły jego pomysły i jego poczynania na Żydach, jak na politykach ówczesnej Europy. O tem jednak wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze. A literaci nasi w tych czasach uważali go za wybawcę, za współczesnego Cyrusa, za zwiastuna wolności, którego samo przeznaczenie nam zsyła w samą porę.

Z Odessy pojechaliśmy do Konstantynopola — by pomówić z Olifantem. Zapłaciliśmy po 4 ruble za karty okrętowe — i jedziemy. Podróż niedługa — półtora dni. Wkrótce stanąłem przed Olifantem. Wysoki, chudy Anglik ze stalowemi oczyma. Przyjął nas bardzo grzecznie. Po długiej rozmowie dowiedzieliśmy się, że... nic nam nie może pomóc. Sprawa jeszcze jest ledwie zaczęta, może, kiedyś... Narazie bardzo żałuje... ale to chyba nieporozumienie — mówił.

Oslupieliśmy. Więc po to przyjechaliśmy do Konstantynopola?

Żeby zatrzeć „nieprzyjemne“ wrażenie powiedział

nam wkońcu Olifant, że w Adenie (na południowym brzegu półwyspu Arabskiego) udziela nam napewno ziemi. Dodał jeszcze, że wedle konstytucji tureckiej każdy wygnaniec, każdy człowiek wypędzony z innego kraju może ziemię zadarmo dostać od rządu tureckiego. Nic o tem — rozumie się — nie wiedzieliśmy, a wiadomość ta nappełniła nas znowu nadzieją. Chcieliśmy natychmiast napisać podanie i przesłać je przez znajomego baszę. Jako jeniec mieszkał przez długi czas w naszym mieście.

Ale i podanie i basza nie pomogli. Okazało się — jak nam to wkrótce pięknie wytłumaczono, że konstytucja turecka nie ma na myśli wszystkich wygnańców. Mogłoby to spowodować zbyt wielki napływ obcej ludności i w następstwie różne komplikacje i trudności. Chodzi tylko o wygnańców Turków. A żydowscy wygnańcy mogą sobie ziemię — kupić.

Oczywiście, chętnie byśmy byli kupili, gdybyśmy mieli pieniądze. Srodków nam starczyło zaledwie na karty okrętowe do Jaffy. Jechało się wówczas przez Bejrut. Nie zastanawiając się długo — zwłaszcza, że pieniądze w rękach topniały, postanowiliśmy pojechać do Jaffy. Nie chcieliśmy narażać się na dalsze rozczarowania ze strony różnych dobroczyńców i wybawców.

Pojechaliśmy. Na pokładzie wpadliśmy odrazu w inny nastrój. Morze, dal, nieznanne twarze, nieznanne przygody. Byliśmy przecież młodzi. Śpiewaliśmy chórem. Nawet mrukliwy B. nawet L. — zawsze zamknięty w sobie i taki tajemniczy. Na okręcie ruch, wrzawa, podziwiamy zręczność marynarzy, słychać głos rozkazujący bosmana. Wszystko nas cieszy. Odjeżdżamy. Myślałem wówczas z rozrzewnieniem patrząc na marynarzy.

— Ci ludzie widzieli już Erec. Tyle razy już byli w Jaffie.

Jestem niecierpliwy. Chciałbym już przeskoczyć tych 7 dni dzielących mnie od palestyńskiego brzegu. Ogromne dźwigi ładują na okręt towary. Marynarze śpieszą się. Głos syren przeszywa powietrze. Robota się kończy. Zbliża się odjazd. Łapię jednego majtka: chcę z nim zacząć rozmowę. Czy widział już Erec? Chcę mu to z oczu wyczytać. Marynarz jest wesoly, rubaszny.

— E, — mówi — Jaffa, jak Jaffa, widziałem ładniejsze miasta, ale morze w tych stronach piękne, bo piękne. I spokojne. Żaglowym brygiem i w miesiąc nie dojedziesz. Czasem jakaś burza się zdarzy — ale drzew nie wyrывa — śmieje się z swego dowcipu. Oczy mu się śmieją. Takie pocziwe, siwe oczy!

A rej wodzi B. Urodzony przywódca, dyplomata. Obecnie jest ambasadorem i ministrem pełnomocnym małego państwa Bilu. Każe wszystkim śpiewać, a sam tak ryczy, że aż chrypnie. Śpiewamy żydowskie piosenki, hebrajskie, rosyjskie, ukraińskie. Ruszamy.

Okręt kołysze się na lustrzanych wodach morza Marmara. Razem z piosenkami nachodzi nas tęsknota, radość, cierpienie, zdecydowanie, ochota, pragnienie czynu. Morze się wzdyma białymi żaglami pienistych fal, morze się wznosi przed statkiem jak olbrzymie niebieskie wzgórze. Statek się jeszcze sennie kołysze, powoli wypływa z zatoki.

Nagle nasz kasjer Z. zrywa się blady, przetrząsa nerwowo kieszenie surduta i zrozpaczony woła:

— Stanąć, zatrzymać statek!

Był tak zdenerwowany, że zapomniał, biedny, gdzie się znajduje. Myślał widocznie, że jest w tramwaju i że można go zatrzymać.

Patrzymy na niego ździwieni. Nie wiemy o co chodzi.

— Co się stało?

— Okradli nas — mówi drżącym głosem i chwieje się na nogach.

Jak grom spadła na nas ta wiadomość. W najsmutniejszych naszych myślach nie wyobrażaliśmy sobie, by to mogło nam się zdarzyć. O, masz poczciwe oczy majtków. Bandyci!!

Przysłuchiwał się naszym „jękom“, bładym młodzieńcem z pielęgnowaną, czarną bródką, jakie wówczas w modzie były. Patrzył na nas z podziwem i wstydził się zbliżyć. Jeszcze gdy śpiewaliśmy zauważyłem, że chłonie prawie z rozkoszą nieznanę mu słowa i patrzy się na nas swymi ognistymi oczyma. Zwrócił się do mnie, pytając po rosyjsku, dlaczegośmy posmutnieli. Powiedziałem mu w krótkości całą naszą historję. Zaproponował mi pożyczkę. Nie posiadałem się z radości.

— Hallo! Towarzysze — krzyknąłem — ten oto szlachetny człowiek pożyczcy nam 10 funtów.

Nasz „ambasador“ zbliża się do przypadkowego dobroczyńcy i mówi: — Bracie, ratujesz nas od śmierci. Kiedy będziemy się mogli odwdzięczyć za tę przysługę? — Było to dość patetyczne i zbyt szczere jak na dyplomatę.

— Niema o czem mówić — przerwał mu nieznajomy.

Byliśmy szczęśliwi. Nie tylko dlatego, że mieliśmy już pieniądze i mogliśmy jakie dwa tygodnie żyć za nie w Palestynie, ale przyczyna była głębsza. Byliśmy zrozpaczeni i utraciliśmy wiarę w ludzi. Zewsząd spotykała nas tylko nienawiść, rozczarowanie, krzywda i zdrada. Nieznajomy przywrócił nam wiarę w dobroć i szlachetność człowieka. Dlatego byliśmy szczęśliwi. Tydzień na okręcie minął nam jak sen. Morze było spokojne, w południe cienie nasze skracaly się prawie do krążka około nóg. Płynęliśmy przecież na południe.

O kradzieży zapomnieliśmy i rozkoszowaliśmy się podróżą zapominając o przeszłości, nie myśląc jeszcze o tem, co będzie.

Raz spostrzegłem mijający nas okręt. Na pokładzie ujrzałem znajome postacie, znękanie twarze, ironiczne spojrzenia powracających Żydów i... nic nie rozumiałem.

— Wróćcie! — krzyczano ze statku — szkoda wysiłków i męki, nie wpuszczają do Palestyny.

Zatrwożyłem się nie na żarty. Lecę do naszego „ambasadora“.

— Cicho! — zawołał do nich grzmiącym głosem. — Nas wpuszczą, mamy pozwolenie. — Nie chciał, by towarzysze usłyszeli niewesołą nowinę. Sam też zląkł się porządnie.

W Bejrucie dostaliśmy telegram, że tylko jeden z nas może przyjechać, reszta ma czekać. Uznaliśmy telegram za nieistniejący i ruszyliśmy w dalszą drogę do Jaffy. Rozumieliśmy już, że chodzi tylko o „bakyszysz“ — łapówkę, którą trzeba dać odpowiedniemu urzędnikowi.

O świcie drugiego dnia ukazała się na horyzoncie Jaffa. Wkrótce zarzucono kotwice i rój tragarzy arabskich i murzyńskich obsiadł cały pokład. Gardłowe dźwięki nieznanym nam języków ogłuszały nas, wrzawa nie do opisanego po spokoju morskiej podróży prowadziła nas z równowagi. Na morzu snuło się tysiące łódek, tragarzy i rybaków z różnobarwnymi żaglami, zielonemi, czerwonymi, białemi. Przez tłum przepycha się wysoki starzec z srebrną brodą. To Dow Frumkin — redaktor tygodnika hebrajskiego w Palestynie „Lilja“ — „Chawacelet“. Wysiadamy. Tłum nas wita szmerem podziwu i radości. — Rosyjscy studenci przyjechali!

Entuzjazm, jaki wszyscy mieli dla nas, minął w kil-

ka dni po naszym przybyciu. Wyczerpał się tak jak nasze pieniądze. Jaffa była bardzo drogiem miastem, bo w tym czasie przybyło do niej mnóstwo Żydów z Rosji.

Wyprowadziliśmy się więc z Jaffy. Tel-Awiv jeszcze wówczas nie istniał i nikt sobie nawet nie wyobrażał, że kiedyś powstanie. Ale na drodze do Jerozolimy wybudował sobie pewien Arab-chrześcijanin — domek. U niego to zamieszkaliśmy. W jednym pokoju spała koleżanka Sirot, w drugim — na rozścielonem po kamiennej posadzce sianie — my wszyscy. Droga, przy której stał dom, była bardzo zaniedbana, dzika, krajobraz, jaki się stamtąd roztaczał był poszarpany, nagi, bezlitosny. Nie było uprawnych pól, nie było zagajników, lasów, nie było wody. Jeno naokoło strome wzgórze, błyszczące i matowe skały i piasek, piasek. Słowem — pustynia. Niewysokie wzgórze skrzyły się w południe białe i żółto pod rozpalonem, błękitnem niebem. Na horyzoncie pojawiała się czasem ciemna linijka ciągnących karawan i ginęła w błękitnej dali.

Nie mieliśmy narazie zajęcia, a pożyczone pieniądze wyczerpywały się. Rzeczywistość była trochę inna, aniżeliśmy sobie wyobrażali, ale przecież byliśmy Bilujczykami, byliśmy pionierami. Mieliśmy dać przykład!

Niedaleko Jaffy była stacja doświadczalna rolnicza Mikwe-Israejl, założona za pieniądze Towarzystwa „Alliance Israelite“. Zadaniem tej instytucji było zbadać, czy można w Palestynie uprawiać płody rolnicze i przekonać się, które z nich najlepiej się udają. Dziś siał Mikwe-Israejl jest szkołą agronomiczną, w której można się nauczyć jak najlepiej i najrozumniej uprawiać rolę. Stacja ta miała dość duży obszar gruntu, na którym zatrudniała robotników arabskich. Zwróciliśmy się do kierownika tej stacji, by przyjął nas do pra-

cy — za bardzo niską płacę. W ten sposób chcieliśmy za jednym zamachem i nauczyć się pracy na roli i... spłacić naszego wierzyciela — Araba, który sprzedawał nam na kredyt mąkę i chleb. Mieliśmy jeszcze wówczas kredyt. Arab zresztą był przekonany, że się tak widocznie postępuje w Europie.

— Effendi — mówił kolega B., i kłaniając się wpół przykładał teatralnie rękę do piersi — effendi, mądrość twa wielka, a dobroć niezmierna.

— Szwuje, szwuje*) — przerywał mu Arab.

— Wiesz, effendi, że u nas tylko na kredyt się kupuje, ale na Allaha, wszystko zapłacimy, co do grosza.

— Nie mogę już dłużej czekać. Rujnujcie mnie.

— Przyjacielu — ciągnął spokojnie kolega B. — gdy jutro o świcie zwrócisz swą twarz na zachód, wyś też silnie wzrok, a zobaczysz na horyzoncie okręt. Czyj to okręt? Nasz! Przywiezie nam pieniądze i tyle towarów, że nie zmieszczą się we wszystkich sklepach Jerozolimy. Więc nie trwóż się i daj nam 20 kilo mąki.

Arab uśmiechnął się z niedowierzaniem i... dawał.

Wkońcu dostaliśmy w Mikwe zajęcie. Żeby nas jednak zniechęcić do tego „szaleństwa“ — jak nazywał kierownik nasze przedsięwzięcie — dał nam za nadzorcę złośliwego Araba, który był zresztą we wszystkim tylko posłuszny wskazówkom kierownika.

Wyszliśmy pierwszy raz do pracy — przed świtem. Było chłodno. Wdychiwaliśmy z rozkoszą orzeźwiający, wonne powietrze. Była godzina może czwarta. O piątej mieliśmy już pracować — pół godziny mieliśmy do Mikwe, a nie chcieliśmy się spóźnić. Bo musicie wiedzieć, że w Palestynie pracuje się z dużą przerwą południową dwa razy dziennie. Rano od 6-tej do

*) Powoli, powoli.

10-ej. Ale myśmy pracowali od piątej. O dziesiątej godzinie panuje już taki skwar, że można z łatwością dostać porażenia słonecznego. Zwłaszcza zaś my byliśmy na to narażeni — bo nie przywykliśmy do tak gorącego klimatu. Od dziesiątej do trzeciej lub czwartej jest przerwa, podczas której trzeba się zaszyć w najgęstszy cień i spokojnie leżeć.

Dostaliśmy wkrótce na rękach pęcherze, nie ustaliśmy jednak w pracy. Z trudnością utrzymywaliśmy łopaty w rękach, pęcherze poczęły pękać i ręce prawie, że krwawiły. Pot lał się z nas strumieniami, bielizna była wilgotną, a powieki kleiły nam się od potu. Chyba nigdy jeszcze nie czułem się szczęśliwszy, jak w tej chwili gdy usłyszałem głos kierownika zarządzającego przerwę południową. Wyprostować grzbiety — wydało nam się niemożliwością. Leżąc już na ziemi — wciąż jeszcze w rękach czułem łopatę, choć dawno wetknąłem ją w piasek. Całe ciało było w jakimś rozkosznym odrętwieniu, a ramiona zdawało się — chcą wlecieć do góry. Wkrótce niedokończywszy posiłku zasypialiśmy tak, jakbyśmy conajmniej rok nie zmrużyli oka.

Gdy nas zbudzono, klęliśmy na czem świat stoi. Co to? Ach tak, jesteście w Mikwe. — To nie uniwersytet. Trzeba wziąć łopaty w ręce i kopać.

Popołudniu szło nam już znacznie łatwiej. Wróciliśmy do domu szczęśliwi. Wkrótce oswoiliśmy się z robotą — chociaż kierownik starał się wynajdywać dla nas najuciążliwsze prace. Chciał nas zniechęcić. Nie zważaliśmy na to. Mimo wszelkie szykany byliśmy zachwyceni. Mieliśmy pracę, byliśmy w Palestynie. Ukradkiem i nieśmiało przypominała się nam czasami myśl: „A co będzie z naszym celem? Czy po to przyjechaliśmy tu? Czy tak stworzymy kolonję?“ Nikt jej głośno nie wypowiadał — ale wszyscy tak

myśleli. Pytania te rzucały cień na naszą radość, a entuzjazm powoli słabł.

Kilku z nas zachorowało. Po części z ciężkiej pracy, do której nie przywykliśmy, więcej z powodu morderczego klimatu. Dziś jest zupełnie inaczej. Dzisiejsza Palestyna nie daje nawet pojęcia, jaki niezdrowy klimat panował w niej w naszych czasach. Powoli ogarniało nas przygnębienie, smutek niespełnionych marzeń. Byliśmy rozgoryczeni, zwłaszcza po nieszczęśliwym zakończeniu sprawy z Netterem.

Netter był generalnym sekretarzem „Alliance Israe elite“ (tego towarzystwa do którego należało „Mikwe Israe jl“, gdzie pracowaliśmy). Przybył obejrzeć Mikwe. Był bardzo wzruszony, gdy ujrzał nas przy pracy. Nie wiedział dotąd o naszym istnieniu i zachwycał się naszym pomysłem, gdyśmy mu wytłumaczyli nasze zamiary. Postanowił nam pomóc. Zapewnił nas, że uczyni wszystko, byśmy mogli urzeczywistnić nasz cel i istotnie w kilka dni później wprowadził w czyn swoje przyrzeczenie. Wyzначył nam ziemię pod budowę własnego domu i zaczęliśmy kopać fundamenty.

Ale widać los wziął się na nas. Dwa tygodnie później Netter zmarł nie przeprowadziwszy sprawy w „Alliance Israelite“. Odrazu przepadło wszystko.

Po tem niepowodzeniu kilku wyjechało do Egiptu, utraciwszy wiarę, że dopniemy kiedyś celu. Kilku przeniosło się do Jerozolimy. Byliśmy w rozpacz. A czas upływał bez zmian.

Wysłaliśmy jednego z nas do Europy. Chcieliśmy się przypomnieć społeczeństwu żydowskiemu (myślano bowiem wszędzie, że już dawno wyjechalibyśmy z Palestyny). Spodziewaliśmy się jakiejś pomocy. Przez długi czas nie było o nim wieści. A jednak za jego staraniem i poparciu Rotschilda przyjęli nas do pierwszej kolonji (założonej w międzyczasie w Pale-

stynie za pieniądze Rotschilda) do Riszon le Cijon. Była zima. Mieszkaliśmy w baraku — zimnym i wilgotnym. W Riszon poznaliśmy konie Beduinów. Takie konie widzieliśmy poraz pierwszy w życiu. Miały zgrabne ciało, smukłą szyję, małą wdzięczną głowę i nerwowe ale silne i wspaniałe nogi. Beduini nigdy koni nie bili. Arabskiego konia nie wolno uderzyć. Gryzie, staje dęba, szarpie się i aż drży z wściekłości i chęci zemsty.

Wprawdzie Beduini mieli przy sobie długie bato-
gi, z którymi się nigdy nie rozstawali — używali ich jednak w całkiem innych celach — jak to mieliśmy po-
tem nieraz sposobność się przekonać. Posługiwali się nimi przy napadach. A korzystali z każdej sposobno-
ści. Kupiec, ubogi fellach, misjonarz, zabłąkany tury-
sta — wszystko stanowiło okazję do obłowienia się. Rabunek stanowił wówczas znakomite i nie ostatnie źródło ich zarobków. Policja turecka patrzyła na to wszystko przez palce — była zresztą bezsilna i do te-
go leniwa. Posterunki stałe były tylko po miastach, a w głąb kraju zapuszczały się patrole raz do roku. W ten sposób mogli Beduini bezkarnie grasować.

Mieliśmy często sposobność podziwiać śmiałość i zręczność arabskich jeźdźców. Nieraz popisywali się za kolonją swą „fantazją“. Jest to cudowny bieg, pęd wierzchowca uległego każdemu skinieniu, każdemu żądaniu jeźdźca. Skoki, zwroty, nagle hamowania, a w lotnym biegu jeździec wskakuje i zsiada z konia. Popisy wołytyzerów w cyrku mogą tylko słabe pojęcie dać o tej jeździe. Koń i jeździec stanowią jedno ciało. Jak z kamienia wykuty niewzruszony, nieruchomo, prosto siedzi Arab a koń posłuszny jest najlżejszemu drgnieniu ręki.

Był to wspaniały widok. Rumak unosił się pra-
wie w powietrzu w lotnym biegu, z szeroko rozstawio-

nemi w skoku nogami, z rozwianą grzywą a na nim Be-
duin we wzdętej jak żagiel abaji i fruujących za nim
wstępach. Ale wszystkiego można się nauczyć. Prze-
cież i Arab nie rodzi się na koniu.

Po niedługim czasie umieliśmy i my zapanować
nad końmi. — W Riszon pracowaliśmy na roli, z ko-
lonistami żyliśmy w zgodzie i wkrótce zostaliśmy przy-
jaciółmi. Gdy zimowy deszcz siekł wściekle o drew-



Taniec chaluców.

niane ściany naszego baraku, snuliśmy długie gawędy
jak to się urządzimy, gdy już będziemy na własnej
ziemi we własnym domu. Niepokazny nasz barak stał
samotny i słaby wśród poświstów gwałtownego wi-
chru.

Pewnego dnia nadeszła wieść, że mamy opuścić
barak (miały w nim zamieszkać jakieś rodziny kolo-
nistów), a sami mamy się przenieść do różnych kwa-
ter u poszczególnych kolonistów. Wtedy wybuchła
u nas burza. Niektórzy ze zrezygnowaniem chcieli pod-
dać się temu rozkazowi. Inni, zapalczywsi postanowili
opuścić Riszon i wrócić do Mikwe. Oburzenie, gniew

i uczucie własnej bezsilności ogarnęło nas. Nie wiedzieliśmy jak zareagować.

Edmund aż drzał. Przejmował się strasznie opowiadaniem i wszystko głęboko przeżywał. Nie był już w pokoju. To nie księżyc świecił i nikt nie opowiadał. Była tylko pustynia, to był film, to było inne życie. Oczy mu w ciemnościach błyszczały, głowę miał nieco schyloną i otwarte usta. Namiętnie kochał konie. Kochał wielkie przestrzenie, swobodę. Nie znosił miasta, ugrzeczionych ludzi, sztuczności.

Dziewczęta głęboko oddychały jak we śnie. Księżyc skrył się za okno i pokój zaległa ciemność tak nieprzenikniona, jak tuż przed świtem. Niedaleko już było do końca opowiadania... do przebudzenia z tego niezwykłego snu.

... Opuszcziliśmy Rizon i wróciliśmy do Mikwe. Ale kierownik farmy chciał się nas pozbyć za każdą cenę. Kilkakrotnie proponował nawet, że zapłaci nam podróż do Ameryki. Ale zacięliśmy się w naszym postanowieniu. Wierzyliśmy, jak w jakimś proroczym natchnieniu, że wkrótce nastąpi zmiana. I wytrwaliśmy na naszej placówce.

Kilku naszych kolegów, którzy jeszcze z Rizon przenieśli się do Jerozolimy opowiedzieli Pinesowi, kierownikowi szkoły rzemieślniczej, o naszych planach. Przedstawili mu nasze położenie, naszą mękę; jak to u nikogo nie znajdujemy zrozumienia, jak nas szykanują...

Pines zaprosił nas do Jerozolimy i na Pesach wybraliśmy się pieszo do Świętego Miasta — jak niegdyś przed tysiącami lat, gdy jeszcze stała świątynia — tysiące Żydów szło pieszo z wszystkich stron kraju do stolicy. Miasto wyrastało przed nami — jak w baj-

ce z tysiąca i jednej nocy — z krętymi uliczkami w głębokim cieniu, jasnymi, słonecznymi placami, minarety przecinały nieskazitelny błękit nieba.

Pines witał nas uśmiechnięty. Wydał nam się bardzo energiczny. Ciekawi byliśmy, w jaki sposób zamierza nam pomóc.

— Plan mój jest prosty — powiedział nam Pines zaraz na wstępie — wydrukujemy akcje na udziały w kolonji...

— A komu je sprzedamy? — spytał się nieufnie Hurwicz.

— Otóż to! Akcje każdy kupi. Wydrukujemy po hebrajsku i po angielsku na niewysokie sumy. Zobaczycie, wkrótce będziemy mieli ziemię.

Westchnęliśmy chórem. Och, ziemia, ziemia! Gdybyśmy mieli własną ziemię! Oczywiście podpisaliśmy mu potrzebne pełnomocnictwa i... wróciliśmy do Miśkwe pracować.

Ale nie minęły nawet dwa miesiące — przyjeżdża do nas Pines. Jak zawsze pogodny, uśmiechnięty. Zdaleka już woła do nas:

— Kupilem katrę!

Nigdy nie slyszeliśmy o żadnej katrze.

— Katra jest obok Jawne — wyjeźnił nam Pines. Kupilem tam 3000 dunamów. To na początek. — Pines promieniał z radości.

Ze wzruszenia nie mogliśmy mówić. Po chwili śpiewaliśmy już razem, ścisłaliśmy się wzajemnie, tańczyliśmy horrę z radości.

Wkrótce przenieśliśmy się na stałe do Gedery (tak przewaliliśmy katrę).

— Tak skończyła się nasza tułaczka. Ziściły się nasze marzenia. Byliśmy w Palestynie. Mieliśmy własny dom.

Drużynowy i jedna koleżanka wyszli z Belkindem. Tymczasem naprawiono już światło. Opowiadanie minęło jak sen. Pokój spowszedniał i zmałał nagle. Edmund zamyślony patrzył przez okno.

Drużynowy wrócił.

— Chłopcy — spytał — czy wiecie, kto był ten kolega B., o którym nam Belkind opowiadał?

Nie wiedzieliśmy.

— To — był — sam — Belkind — wycedził powoli drużynowy.

Ośłupieliśmy. Drużynowy jednak nie dał się nam długo dziwić.

— Jutro wycieczka! — zawołał — zbiórka o 7-mej koło pomnika!



W TYM SAMYM NAKŁADZIE UKAZAŁY SIĘ:

- 1) **SPADAJĄCE GWIAZDY**
Obrazek z życia palestyńskiej szkółki.
- 2) **AMOS I ANTEK (wyczerpane)**
Opowieść o przyjaźni.
- 3) **SYNOWIE PUSTYNI**
Obrazek sceniczny na tle biblij w dwóch odsłonach.
- 4) **LEGENDA O GOLEMIE**
Opowiadania.
- 5) **HISTORJA O MOKREJ CIOTCE SŁOCI I O JASNEM
SŁONECZKU — OCZKU**
Bajka jesiennego popołudnia.
- 6) **ZA WOLNOŚĆ I WIARĘ**
Obrazek sceniczny w trzech odsłonach.
- 7) **GŁOS ZIEMI**
(Aharon Dawid Gordon).
- 8) **TAJEMNICA BIAŁEGO ZAMKU**
Opowiadanie.
- 9) **BAJKI I NIE-BAJKI.**
- 10) **LEGENDY O NOWEM ŻYCIU W NASZYM KRAJU.**
- 11) **MOCARZ DUCHA**
Opowiadanie.
- 12) **PŁONĄCE SERCE**
(Jehuda Halewy).
- 13) **BILU**
(Ze wspomnień pierwszego pioniera).
- 14) **OJ, ZNOWU PURIM**
Zart sceniczny w 5-ciu odsłonach.
- 15) **GWIAZDA PRZEWODNIA**
Obraz sceniczny w sześciu odsłonach.

F

22.128